I

Bálint Abády po cichutku wszedł do ciemnej loży.

To ta trzecia po prawej, zarezerwowana dla rodziny Abádych. Stara tradycja stanowiła bowiem, że w Kolozsvárze wszyscy, którzy mogli sobie na to pozwolić, wynajmowali dla siebie lożę – zawsze tę samą.

Po omacku powiesił wierzchnie okrycie i nieco oślepiony scenicznym światłem, postąpił naprzód, usiadł. Zajął główne miejsce, naprzeciwko sceny, gdyż jego matka pozostała w Dénestornyi. Bálint przyjechał stamtąd do miasta autem, akurat tylko z powodu przedstawienia, jako że na ten wieczór przypadła wielka uroczystość – premiera *Madame Butterfly*. W roli tytułowej nie jakaś mniej znacząca śpiewaczka, lecz sama Yvonne de Tréville, słynna sopranistka Opéra-Comique, w owym czasie często występująca w Kolozsvárze.

Przybył trochę spóźniony. Teraz przedstawienie trwało już w najlepsze. Właśnie rozpoczynał się ostatni wielki duet pierwszego aktu. Melodia aż uderzająca namiętnością, miłosny dwugłos szalejący pożądaniem. Skrzypce, altówki pod palcami zgiętych wpół muzyków wpasowywały się w ten pulsujący rytm sześć czwartych, a ponad nimi niósł się słodki jak miód głos paryskiej artystki.

Ledwie jednak Bálint poddał się muzyce, ogarnęło go oszałamiająco niespokojne uczucie. Niepokój, jak gdyby w pobliżu niego znajdowała się jakaś straszliwa siła. Coś bardziej mocarnego od tej potężnej muzyki. Coś, od czego drżał mu każdy nerw. I jakby przyciągał go jakiś magnes, że aż musiał się odwrócić.

Tuż obok siedziała Adrienne Milóth.

„Niespodziewane, że jest tutaj. Mówiono, że nie ma jej w mieście, lecz przebywa z córeczką w Szwajcarii. Nieoczekiwane, że już wróciła, i jaki przypadek, że ona i jej młodsza siostra, mała Margit, goszczą u tej dobrej starej Adelmy, w loży Gyalakuthych po sąsiedzku".

Siedziała tu całkiem blisko niego, a mimo wszystko była tak nierealna jak fantazmat.

Tylko odbijający się od dekoracji blask księżyca oświetlał jej cienki, leciutko zakrzywiony nos, jej policzki i pełne wargi, bladą skórę na szyi, na ramionach powyżej głęboko wyciętej srebrnej sukni. Wszystko inne utonęło w ciemności panującej na widowni.

Patrzyła przed siebie w bezruchu. Zastygła. Rozlewająca się ze sceny księżycowa poświata powlekła tęczówki jej szeroko otwartych oczu

szmaragdową emalią. Zupełnie jakby była posągiem, tak znieruchomiała. A przecież to pewne, że już w momencie, gdy Bálint więcej niż ostrożnie wszedł do loży, już wtedy mogła go zobaczyć, bo przecież była obrócona akurat w jego kierunku, główne zaś miejsce w fotelu, dokąd przekradał się mężczyzna, znajdowało się na wprost sceny.

I teraz byli tutaj tak blisko siebie, że przy najmniejszym poruszeniu ich ramiona by się zetknęły. Pozostać tutaj – to niemożliwe!

To absurd siedzieć tak obok siebie, jakby byli obcymi ludźmi. Wspólnie słuchać tej namiętnej muzyki, która wyrażała przepełnione rozpaczą pragnienie, miłość, tęsknotę. Nie! Nie! Nie wolno mu tu zostać! Nie potrafiłby zresztą.

Ich miłosna przeszłość zaatakowała Bálinta z taką siłą, że od stóp do głów poczuł drżenie. Wstał bezszelestnie i niemal zataczając się, ukradkiem opuścił lożę.

Ale nie potrafił oddalić się natychmiast.

Zszedł po schodach, udał się na przeciwległą stronę parteru i tam, tak w płaszczu, postąpił do sali przez jedne z drzwi.

W środku, w czarnym jak noc mroku pod lożami balkonu nikomu nie uda się go dojrzeć. Tutaj zaczeka na koniec aktu; umknąć na zewnątrz będzie musiał dopiero na chwilę przed rozbłyśnięciem żyrandola. Mógł stąd patrzeć na Adrienne, z którą nie widział się ponad rok, a tylko raz spostrzegł ją z daleka.

Nic a nic się nie zmieniła, być może twarz miała nieco szczuplejszą, może też jakiś gorzki grymas w kącikach ust. Ale była tak samo po królewsku przepiękna jak wówczas, gdy była jeszcze jego, była życiową partnerką dla jego duszy i ciała, tą, którą wybrał na żonę, nim ich od siebie odepchnął fatalny los. Jego wyobraźnia zdarła z niej suknię lśniącą niczym pancerz i ujrzał ją przed sobą tak, jak kiedyś w Wenecji – to już cztery i pół roku – a potem w leśnej chacie czy tu, w willi Uzdych, i w dalekim Mezővarjasu, i kilkukrotnie też w Peszcie – wszędzie tam, gdzie ich bezdomna miłość zdołała znaleźć schronienie. I serce ścisnęła mu gorycz. Z tej to kobiety musiał zrezygnować! Na jej właśnie rozkaz powinien był ożenić się z inną, z tą małą Lili Illésváry. Sama Addy wyznaczyła ją dla niego.

Bez tego małżeństwa nie mogą się więcej spotkać! – tak wtedy zadysponowała Adrienne, a on nie potrafił spełnić tego warunku. To dlatego nie mógł jej widzieć od tamtej pory…

Duet rozbrzmiewał dalej. Szalejąca namiętnością melodia miłosnego pragnienia rozwijała się i coraz bardziej potężniała. Chyba dwukrotnie

wmieszały się w nią nadbiegające z przepastnego kanału dla orkiestry posępne dźwięki motywu klątwy rzuconej przez naczelnego kapłana shinto, rozrywając wpół tę pieśń słodką niczym miód. Bálint odnosił wrażenie, jakby symbolizowało to ich własny los, jakby muzyka przywoływała ich przeszłość. Ale znów poniosła się na scenie pieśń pragnienia, silniejsza od wszystkiego innego, żądająca i triumfująca – wiosna, blask księżyca, kwitnące drzewa i podniosła melodia – dźwięki grzmiały i szalały, a potęga zmysłów w duecie napiętym do granic wytrzymałości rozlewała się powodzią, podobnie do burzy, i wszystko przemiatała z drogi. Tak! To była muzyka ich przeszłości, tej przeszłości, która zatonęła…

Połówki kurtyny z impetem zasunęły się w wichrze oklasków. Bálint wyślizgnął się za drzwi.

Na zewnątrz była chłodna październikowa noc. Niebo czyste, ale chodniki lśniące, bo dzisiaj po południu trochę mżyło.

Ruszył przez ciemne miasto, bez celu, aby tylko iść. Tak żeby móc pozostać samemu. Samemu z tym wszystkim, co tak gwałtownie natarło nań tego wieczoru. Mimowolnie zerknął jednak na zegarek. Kwadrans po dziewiątej. Po przedstawieniu musiał bowiem pójść do nadżupana, który jako dyrektor teatru w Kolozsvárze zaprosił go na kolację wydawaną na cześć francuskiej diwy… Ale to przyjęcie odbędzie się dopiero około północy… Do tego czasu może pochodzić. Do tego czasu musi pochodzić. W ten sposób chyba uda mu się zapanować nad goryczą, jaką wzbudził w nim widok Adrienne. Bálint szedł powoli i bez celu. Szedł przed siebie.

Gdy tylko znalazł się na dworze, na wyludnionej wieczorową porą ulicy, zaatakowały go wspomnienia. W sposób pogmatwany. Chaotyczny. Bez żadnej kolejności. A on szedł, jakby przed nimi uciekał. Bo trzeba zniknąć! Trzeba się schować! Ukryć, jak tego lata, gdy jeden jedyny raz ujrzał Adrienne – i tak od tamtej pory pozostawać w cieniu!

*

Właśnie wychodził z kliniki, gdzie umieścił jednego z masztalerzy z Dénestornyi. Pomiędzy metalowymi prętami zauważył idącą po drugiej stronie ogrodzenia Addy.

Podążała w górę miarowym, powolnym krokiem. Bálint gwałtownie przywarł do słupa bramnego, żeby nie mogła go zobaczyć, i stamtąd

śledził ją wzrokiem, gdy przechodziła. Nie spoglądała ani na prawo, ani na lewo, tylko patrzyła przed siebie, z nieco uniesioną brodą. Szła zapewne do „domu z zielonym dachem", znajdującego się wyżej, na zboczu wzgórza, na terenie Instytutu Neurologicznego.

„Odwiedza męża, tam jest zamknięty!" – pomyślał Bálint. „Tego szaleńca, którego nigdy nie kochała i który nigdy jej nie kochał".

I serce napełniło mu się goryczą, jak wygnańcowi, kiedy z oddali ujrzy nagle góry graniczne ziemi ojczystej…

A teraz musi biec, uciekać z teatru, błąkać się bez celu po ciemnym mieście! Nogi bezwiednie poniosły go w kierunku rynku. Owładnął nim jakiś niezwyczajny brak woli, zupełnie jak gdyby tamta nagła decyzja, w wyniku której oderwał się od Adrienne, wyczerpała wszystkie jego siły.

Szedł, ledwie rejestrując, gdzie jest. Przy rogu rynku zatrzymał się, bo niemal wpadł na piecyk handlarza kasztanów. Trochę się zawstydził. Z tego więc powodu zakupił usłużnie wyciągnięty ku niemu przez sprzedawcę rożek maronów. Odebrał opakowanie i idąc dalej, mechanicznie zaczął je rozwijać. Ale jak tylko sięgnął do środka, przypomniało mu się, że jest zaproszony na przyjęcie, kasztany zaś osmolą mu palce. Schował rożek głęboko do kieszeni płaszcza. Zapewne spotka jakiegoś dzieciaka, to mu odda.

Owszem, spotkał, niejednego zresztą, bo przecież tam, gdzie szedł, za mostem kolejowym, stało przed kinem kilku wyrostków, jednak do tego czasu on już dawno zapomniał, co ma w kieszeni.

*

Tak! Powinien był się ożenić z Lili Illésváry. Wtedy wszystko ułożyłoby się inaczej. W takim przypadku mógłby się teraz spotkać z Adrienne, mogliby porozmawiać o dawnych wspomnieniach, napomykając o nich zawoalowanymi słowami; choćby tak jak dobrzy przyjaciele, skoro inaczej to niemożliwe. Przynajmniej widzieć ją, wziąć za rękę, ucałować jej giętkie palce… I wtedy miałby też swój dom, własną rodzinę, nie włóczyłby się po świecie, bezdomny. Tak! Tak należało zrobić! Ale to też odrzucił od siebie, odrzucił także to ufundowane na kompromisie połowiczne szczęście, za jakie uważał tego rodzaju rozwiązanie. I teraz nie ma niczego, ani miłości, ani rodziny, niczego!

A przecież zależało to tylko od niego. Wyłącznie od niego. W Jablánce, w połowie grudnia, wtedy przepuścił tę okazję.

Gdy tam przybył, domownicy, Antal Szent-Györgyi i jego synowie, powitali go z lekka wyczekującą radością. Oczywiście bardzo powściągając emocje, aby uniknąć jakiejkolwiek sensacji, stosownie do stylu Jablánki; Magda Szent-Györgyi zasygnalizowała już odrobinę więcej, przywitała go z fałszywym uśmieszkiem i uścisnęła mu dłoń nieco mocniej niż zazwyczaj; jego ciotka Élise, Antalowa Szent-Györgyi, przyjęła go zaś z większą nawet czułością i cieplej niż zwykle, a choć ani słowem nie poczyniła aluzji do tego, co najwyraźniej całe towarzystwo przypuszczało w kwestii jego planów małżeńskich, to ów zachęcający i nieco motywujący wzrok, jakim nań spojrzała, ponadto też pieszczotliwa dłoń oraz matkujący ton, wszystko to pokazywało, że ona zamiary młodego krewniaka obserwuje z niejakim wzruszeniem i z życzliwością w swym dobrym sercu. Również po Pfaffuluszie było widać, że ma w tym temacie pełne rozeznanie. Rzecz jasna żadnych swoich myśli nie zdradził, niemniej jego grube brwi, przypominające czułki kozioroga dębosza, znacząco się poruszyły, kiedy podawał rękę Abádyemu. Pfaffulusz, czyli opat kanonik Czibulka, przebywał w Jablánce już od kilku dni, jako że wielkie polowanie miało się odbyć w tym roku niezwykle późno, dopiero w trakcie adwentu. On przybył tu z niedaleka, z Nagyszombat, i codziennie odprawiał mszę w pałacowej kaplicy. Bálint miał poczucie, że wszyscy tutaj zdają sobie sprawę z jego zamiarów małżeńskich i wszyscy je aprobują.

Z Lili spotkał się wówczas, gdy w dawnym refektarzu braci paulinów, wysokiej na półtora piętra i ozdobionej stiukami sali służącej obecnie za wielki salon, licznie już zebrali się uczestnicy wydawanego wieczorem obiadu.

Weszła drzwiami naprzeciwko, od strony biblioteki. Bálint dojrzał ją już z daleka.

W białej tiulowej sukni zdawała się tak lekka, jak gdyby w stanie nieważkości prześlizgiwała się po wypolerowanym na błysk parkiecie. Podążała ze spokojną pewnością panien z wielkiego świata, tak samo spokojnie i pewnie skinęła lekko głową ku tym, których widziała już uprzednio, następnie pozdrowiła dwóch gości dopiero co przybyłych z Wiednia. Abády znów podziwiał ów idealny sposób, jakim poruszała się ta dziewczyna. Jak bardzo pasowało do niej całe to otoczenie, ta ogromna biała sala, te czerwone i złote meble, olbrzymie portrety w ozdobnych ramach, cały ów przepych był stosownym do niej obramieniem, w którym ta śnieżnobiała panna zdawała się arcydelikatna, nieomal

krucha, gdy z taką lekkością przemierzała wzdłuż pomieszczenie, zupełnie niczym motyl, a mimo wszystko wyczuwało się po niej, że jest z rodzaju charakterów twardych jak stal. To zatem byłaby kobieta, która zostanie jego żoną?

Wyhodowana następczyni wielu pokoleń, przodków, którzy jako majętni i samodzielni nigdy nie żenili się z jakąś brzydotą tylko dla posagu lub z kimś drugorzędnym – ze zniewolenia. Ale już się Lili zbliżała do Abádyego. Jej chód nie przyśpieszał, postawa też się nie zmieniała, a jednak w geście, w którym wyciągnęła dłoń, była jakaś naznaczona oddaniem delikatność, w błękitnych jak niezapominajki oczach zaś rozjarzył się błysk radości.

Tak! Tak było. To właśnie dostrzegł, to zarejestrował jego umysł w momencie, gdy po dłuższym czasie zobaczyli się ponownie.

Potem pierwszy, drugi i trzeci dzień łowów. Lili wielokrotnie była obok niego, podobnie też w dniu wielkiego polowania na zające, podczas którego znów znaleźli się przy prawym narożniku – we dwoje. Godzinami razem. Spacerowali też popołudniami, oczywiście już nie we dwoje, lecz z resztą młodych ludzi, ale tamci często zostawiali jego i Lili samych, odstając w tyle na dwadzieścia, trzydzieści kroków. W takich momentach ta nad wyraz rozmowna dziewczyna za każdym razem milkła, jakby zdawała na mężczyznę podjęcie następnego, jakiegokolwiek, tematu. Najwyraźniej czekała, że poprosi ją o rękę.

Wtedy trzeba było! Tam w długiej alei grabów, która prowadzi do punktu widokowego. Albo gdy wracali od klaczy pełnej krwi.

Zamarzniętą ziemię przyprószyła cieniuteńka warstwa śniegu, który cicho skrzypiał im pod stopami. Pozostałe towarzystwo było jeszcze przy ogrodzeniu padoku. Tak! Wtedy powinien był przemówić! Tam może zdołałby wypowiedzieć tych kilka banalnych zdań, formułkę oświadczyn. Nie zrobił tego. Jakie to było niemądre, że tego nie zrobił! Ale wtedy, w tamtym z lekka zimowym pejzażu własny głos wydawał mu się chłodny, rzeczowy, pozbawiony werwy, nieomal jak gdyby szło o interesy. A przecież chyba nawet to nie stanowiłoby problemu, skoro dziewczyna i tak czekała na te właśnie słowa.

*

Kiedy przechodził mostem na młynówce, zatrzymał się. Pomyślał, że dobrze by było pójść w kierunku promenady, do parku zapewne pustego

nocą. O tej porze nikt tam nie bywał. Jednakże postąpił w tamtym kierunku tylko kilka kroków, a potem znów przystanął. Nie, to nie był dobry pomysł! Trzeba by przejść przez jezdnię, a więc ubłociłby sobie lakierki. Jest zaproszony w gości na wpół do dwunastej. Nie! Musi pozostać tu na wyasfaltowanych chodnikach, ledwie co mokrych od popołudniowej ulewy. Taka płytka woda nie pozostawi śladów.

Ruszył zatem dalej od centrum, w kierunku dworca kolejowego.

*

To już rok! Tak, to już rok od tej jesieni, którą spędził w stolicy. Wtedy też spacerował przez długie, bardzo długie godziny, chodził bez celu i tylko po to, żeby chodzić, żeby trochę złagodzić narastający niepokój. Czekał na list od Adrienne, na ten decydujący list, który zapowiadałby, że skłonna jest wymóc rozwód. Ale zawsze przychodziły jedynie odwlekające słowa – „teraz jeszcze nie można… czekaj… teraz jeszcze nie" – tak!, za każdym razem Addy pisała coś takiego, a on wtedy jeszcze nie rozumiał, przed jak straszliwym dylematem stała, widząc, że jej mąż z dnia na dzień przybliża się do szaleństwa, które w końcu obróciło w ruinę wszystko, na co się szykowali…

Adrienne! O czym ona teraz myśli? Czy jeszcze siedzi tam w operze? Czy raczej już stamtąd wyszła? Ciekawe, co czuła, gdy tak przypadkowo znaleźli się obok siebie dzisiaj wieczorem. Na pewno i jej stargało nerwy to, jak okrutnie bawi się nimi los…

„Nie wolno dopuścić, żeby coś takiego wydarzyło się ponownie! Jutro rano natychmiast wyjadę!" – postanowił. „Gdybym się nie umówił na tę głupią kolację, już tej nocy bym tak zrobił…"

Z powrotem do Dénestornyi, do matki. Stary dom to jedyne miejsce, które do pewnego stopnia przynosi spokój. Piękno tego domu, jego wielowiekowy czar. Własny dom. Choć i tam zawsze unosi się jakiś cichy smutek, w tym ogromnym domu są tylko oni dwoje: on i jego zestarzała matka. Zawsze tylko oni dwoje. Nie ma tam niczego innego. Nie ma młodego życia. Nie ma przyszłości.

Gdyby w Jablánce oświadczył się Lili, wtedy byłoby przynajmniej tyle, nadzieja na tyle. Jakim było szaleństwem, że tego nie zrobił…

*